



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ASNYK JAKO AUTOR DRAMATYCZNY

SZKIC

P. CHMIEŁOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Weinberg podstępem chciał zająć miejsce Augusta i znowu został energicznie odepchnięty i zelżony. Wówczas wylał jad długo w duszy skrywany, wołając: „Jak to wygodnie obmyć honor swój i całego domu, nie wyłączając i kochankę, złożyłwszy całą winę na karb piekielnej intrygi nikczemnego żyda. A czyż to w mojej mocy leżało zrobić z Władysława bezmyślnego marnotrawcę, niedbałego na żadne obowiązki? Czyż w mojej mocy było tobie, dumnej i cnotliwej, kazać się wyrzec tej dumy i cnoty dla salonowego fałszerza? Gdyby mąż twój był tem, czem być powinien; gdybyś ty pozostała owym czystym aniołem, za jakiego cię miałem:—nie miałbym nad wami żadnej władzy i nie poważyłbym się nawet zakłócać wam szczęścia. Ale tak—coż mię miało wstrzymywać? Miałas zostać kochanką innego; nie dziwnego, że chciałem zająć jego miejsce, bo w oczach moich byłaś już upadłą kobietą.“

Jakkolwiek w słowach Weinberga bardzo dużo mieściło się słuszności, ostatni jego frazes zbyt był okrutnym, ażeby nie wywołać słusznego oburzenia zranionej nim kobiety; chociaż więc poczuwała się do winy, stanęła w obronie i siebie i męża i Augusta, utrzymując, że oni pomimo upadku swego są w porównaniu z Weinbergiem czystymi i dobrymi, gdyż „mają w so-

bie szlachetne popędy, do których on nie jest zdolny.“

Rzeczywiście takim się okazuje. Gdy w pojedynku amerykańskim wyciągnął los dla siebie niepomysłny i gdy obecni zwolnili go od dotrzymywania zobowiązań, on, odrzuciwszy dumnie „jałmużnę“, wydobyl pistolet i wymierzył w Natalię; August, zasłaniając ją, ugodzony został kulą. Dopiero wtedy zabija się Weinberg, ponieważ go już wszystko zawiodło.

Postać Weinberga tak wydatnieje w dramacie, że zasłania inne, zwłaszcza że te inne bierną przeważnie odgrywają rolę. Rozwinięciu tej postaci niewiele zarzucić można, bo chyba to tylko, że w dwu pierwszych aktach za mało widzimy w Weinbergu tych objawów namiętnych, jakie wypełniają akt trzeci, że zatem czytelnik lub widz nie jest należycie przygotowanym do zrozumienia bohatera w nowej fazie.

Za mało również jest wskazówek, któreby ułatwiły podążenie za zmianą w usposobieniu. Natalii. Krok, jaki czyni, opuszczając męża, jest zbyt ważnym w życiu kobiety, ażeby go nie miało poprzedzić jakieś rozmyślanie, jakaś walka wewnętrzna; a tego momentu poeta nam nie maluje.

Możnaby jeszcze zrobić uwagę, że dwie postaci kobiece (Pokrzywska i Róża), wydatne role w 2 pierwszych aktach mające, znikają zupełnie w akcie trzecim; ale uwaga ta nie może stanowić zarzutu; postaci te bowiem miały posłużyć jedynie ku uwydatnieniu przyciągającej potęgi bogactwa. Róża i Pokrzywska tańczą koło Weinberga we własnym interesie (Róża chce się zań wydać); płytkie i powszednie te osoby nieodczują naturalnie śmierci „żyda“ inaczej jak tylko w sposób interesowany.

„Kiejstuta.“ wydrukowanego w r. 1878 (i tłumaczonego zaraz na język niemiecki) nazwał Asnyk *tragedją*. Przeciwno temu określeniu musimy zaprotestować, ponieważ istotnej wysokiej

tragiczności w utworze tym niema. Kiejstut jako osoba nie jest postacią tragiczną w przedstawieniu naszego poety. Najprzód nie ma w tym dramacie kolizyi takiej, któraby prowadziła grozą przejmowała. Nie ma tu starcia się dwu jakiegś wielkich idei, ani też dwu potężnych namiętności.

Kiejstut jest szlachetnym rycerzem, posługującym się zawsze tylko prawemi środkami, jest obrońcą niezależności Litwy, nie chcącym wchodzić w żadne układy z jej wrogiem, Krzyżakami; to prawda; ale równocześnie nie gromadzi on sił swego narodu, by potęgę krzyżacką złamać, tylko toczy wojny ze swym synowcem, Jagiellą, małomownym, a chytrym, który tak samo jak Kiejstut nienawidzi Krzyżaków, lecz nie ma tej szpiżowej niezłomności co stryj i gotów łączyć się chwilowo z nieprzyjacielem, by cel najbliższy osiągnąć. Ztąd działalność Kiejstuta i treść utworu sprowadza się do walki domowej, wewnętrznej, rodzinnej, w której kolejno bierze górę jedna to druga strona; wróg zaś zewnętrzny o tyle tylko występuje, że spóźnionymi zazwyczaj ostrzeżeniami dopomaga do wzajemnego wytepiania się Litwinów. Takie zatarci rodzinne nie mogą budzić w czytelniku zajęcie się żywym; nie drży on o los Litwy, lecz dość obojętnie śledzi przebieg zapasów.

Chciał wprowadzić Asnyk wywołać żywszą kolizję przez wprowadzenie postaci Konrada, niby syna Kiejstutowego, Butawta, który porzucił ukochaną Aldonę, jak Alf-Walter Mickiewiczowski, by zyskawszy ufność Krzyżaków, kłeskę im kiedyś zadać stanowczą. Postać ta posłużyła pocie do wysnucia dwu scen przesłiznych: najprzód przy końcu aktu 1-go, gdy Aldona, dojrzawszy Butawta w Konradzie, przypomina mu dzieje młodości i miłości, a potem przy końcu aktu V, gdy Butawt daje się poznać swemu ojcu, zniedołężniałemu już i niezdolnemu do walki, ale zawsze jeszcze wyznającemu zasady pra-

we i szlachetne. Poza temi wszakże scenami Konrad jest osobistością bladą i na przebieg akcyi wcale nie wpływa.

Prawdziwą ozdobą dramatu są trzy przesliczne postaci: Kiejstut, Aldona i Marya.

Kiejstut to wzór rycerza, dzielnego, szlachetnego, pełnego wyrozumiałości i pobożności dla ukorzonych, wierzącego w dobroć ludzką; wrogiem on jest tylko wszelkiej—obludy i nieczemności. Ani na jedną chwilę, w postępkach czy w słowach, nie przeniewierza się on temu charakterowi.

Aldona to natura czuła, wrażliwa, sercem wyłącnie żyjąca, pełna wyobraźni i przecuciowości, gotowa cierpieć lata, byleby pewną była, że choć w oddali jest kochana.

Marya przeciwnie to kobieta energiczna, śmiała, stojąca w obronie swego męża zawsze i wszędzie, choć go inni lekceważą, choć nim pomiatają. Jak Paoli w dramacie „Cola Rienzi,” tak Maryi dał poeta najsilniejsze słowa, gdy się przekonywa, że mąż jej już zgładzony. Odpycha wtedy Aldonę, z perswazyą chcąc wystąpić, i woła:

Precz ode mnie zdala!

Precz z twą słodyczą, cichą a obludną;
Wszystkim wam ręce krew ofiary kała
I mnie już więcej oszukiwać trudno.
Ja już nie jestem, czem bylam niedawno;
Nie jestem biedną, złamaną kobietą,
Lecz jestem mordem, jestem złością jawną.
Jestem zarazą—straszydłem—kometą.
I nic ludzkiego nie mam teraz w sobie,
Odkąd jak wdowa stanęłam w żałobie
I tylko rzeczy śnić będę okropne,
Jak upiór ciągle wracając na cmentarz,
Dopóki zemsty zupełnej nie dopnę
Nad wami, zdrajcy!...

I co zapowiedziała, tego dokona z pewnością; żyje odtąd tylko uczuciem zemsty.

Styl „Kiejstuta” jest jednakowy w mowie wszystkich osób, odznacza się podniosłością, klasycznym spokojem i cichym jakimś majestatem bez cienia fałszywego patosu. Wiersz dramatu potoczysty, a wytworny.

*

*

*

Zastanawiającą jest rzeczą, że taki poeta złożonych stanów duszy, jak Asnyk, wprowadzał do swych dramatycznych utworów tylko natury jednolite, nie mające w duszy trudnych do zrozumienia zagadek. Sądził zapewne, że na scenie nie ma miejsca do rozwijania bogatych, a skomplikowanych usposobień, że widz domaga się takich postaci, któreby od razu i bez wysiłku umysłowego mógł przeniknąć. A naginając swój talent do takiego zadania, nie miał poeta pola do roztoczenia całej świetności fantazyi i myśli swojej. I jak w obrabianiu prostych motywów ludowych nie zabłysnął mistrzostwem, tak samo w utworach dramatycznych niektóre tylko ustępy, niektóre sceny stoją na wyżynach jego liryki. Najświetniejsze tu miejsca są te właśnie, gdzie przemawia uczucie, gdzie wybucha namietność (w „Cola Rienzi,” w „Żydzie,” w „Kiejstucie,” w „Braciach Lerche;” a w innym tonie w „Gałazce heliotropu).

Doskonale umiając wyrazić ironię i sarkazm, nie ma Asnyk werwy komicznej, nie umie nakreślić sytuacji, któraby sama przez się pobudzała do śmiechu; wogóle nawet mówiąc, w jego komediach z wyjątkiem jednej sceny między reporterem a Hugonowskim w „Komedyi konkursowej” nie śmiech, lecz uśmiech jeno powstać może. Subtelny umysł poety dalekim jest od tego nastroju, w jakim celował Fredro, czuć w nim pokrewieństwo z Mussetem, mianowicie w „Gałazce heliotropu” i „Przyjaciółach Hioba.”

Kolizye dramatyczne wszędzie są u Asnyka dobrze pomyślane, jasne, zrozumiałe; brak tylko w ich rozwinięciu należytego ześrodkowania; czasem są zamało przygotowane, jak w „Żydzie,” czasem zbyt długo rozwleczone, jak w „Cola Rienzi,” albo też nie zbiegają się w je-

dnem ognisku idei, jak w „Kiejstucie.” Asnyk, wykwinny artysta, nie lubił zwykłych scenicznych efektów, unikał też ich umyślnie i w jednym tylko „Żydzie” pofolgował sobie w tej mierze, przez co upodobił ten dramat do innych społecznych.

Wogóle poeta nasz nie chciał mieć nie spólnego z szablonem, jaki się w nowożytnej dramatyce ustalił; każdy też jego utwór pod względem sposobu pisania, pod względem obrobienia ma cechy odrębne. Nie ma tu figur, któreby się powtarzały, nie ma scen, któreby się wzajem przypominały; środki też wywołania wrażeń nie są z góry obmyślane dla efektu scenicznego, lecz wynikają z samej natury osnowy. Liczy autor wiele na domysłność czytelnika czy widza i nie przynagla go, by się śmiał lub rozrzewniał. Zyskują też sztuki Asnyka, gdy są ponownie odczytywane; za pierwszym bowiem razem, przy wielkiej powściągliwości słowa, jaką się poeta odznacza, nie wywołują one zazwyczaj silniejszego wzruszenia.

Proza Asnyka nie budzi podziwu; jest ona czysta, jasna, poprawna, szlachetna, wolna od wszelkiej przesady i napuszoneści, wolna też od sztucznych kombinacji wyrazowych i zawikłania, lecz blaskiem porównań i przenosi nie celuje. Wiersz natomiast, jak w lirykach tak w utworach dramatycznych zachwyca—stanowi on widocznie jakby przyrodzony Asnykowi sposób wyrażania pomysłów.

Nie jest twórczość dramatyczna znakomitego liryka naszego doskonałą; w budowie jego sztuk jest dużo wad technicznych (nieumotywowanie wyjść i wejść, częste podsłuchiwanie, powolny rozwój akcyi); ale czystość i szlachetność atmosfery duchowej, do której nas wprowadza; ale artystyczna prostota dialogu, nastrój poetyczny, mnóstwo głębszych myśli, nieszablonowość w sposobie przedstawienia charakterów i sytuacji,—są to zalety, których lekceważyć niepodobna, które owszem z naciskiem uwydatnić należy.



NIEDOLA DZIECKA.

Ciasna izba w suterynie lub na poddaszu, pełna zaduchu, wilgoci, krzyku, kurzu latem, błota zimą, wyzywań co chwila, przekleństw bardzo często, a biedy zawsze—oto powietrze w jakim się rodzi, którem oddycha długo mały dzieciak nędzarzy. Jeśli go ta atmosfera nie zabije niemowleciem, jeśli jego płuca zniosą tę mieszaninę ciężką i niezdrową, jeśli bez szwanku wygramoli się wreszcie po schodkach na trotuar lub szczęśliwie dotrze z trzeciego piętra na dziedziniec, no, to już dla niego nieźle; dostało się na świat, na prawdziwe powietrze, na słońce i siedzi oto na kamiennym stopniu lub wystawce muru pod oknem lub szybą sklepową, blade wprawdzie, ogłuszone, otumanione uliczną wrzawą, ale zadowolone z siebie, ciekawe i chciwe wrażeń które biją w jego trzyletnią wyobraźnię i nerwy. Zimno, słońce, upał, niezrażają tego małego, obdarzonego widza, dla którego wszystko jest nowością i cudem niemal, któremu wszystko jest lepsze niż wewnątrz izby z której udało się odporności jego organizmu unieść—cało—życie. Jeśli tłum rzymski dopominał się dwóch rzeczy—chleba i widowisk, to ten najmniejszy z wrażliwych mieszkańców stolicy nieraz przymiera chętnie i głodem byleby został—na wierzchu, byleby nie wciągnięto go do dusznej, niezdrowej komory kędy i tak to jadło nie wiele go nasyci, a powietrze i ciemność, napewno dławieć będzie. Małeństwo szybko, się oswaja z ulicą, ruchem, wędruje samo śmiało środkiem z jednej strony na drugą, wymija tramwaje, dorożki, powozy, bicykle, i doszedłszy do jakiegoś szóstego, ósmego roku życia jest na ulicy jak u siebie. Ulica—to jego dom, szkoła, widowisko, towarzystwo, od-

poczynek, ucieczka—słowem cała kultura jaką odbiera. To też taki dzieciak kocha ulicę i ani wie kiedy staje się—ulicznikiem. Rodzice jego są nędzarze, materyalnie, moralnie, często i fizycznie, w ich głowach ciemno i dymno jak w ich izbie, praca z domu ich wywołuje, choroba lub nałóg zły jedynie na dłużej zatrzyma, dziecko starsze wypędzają sami w świat—a świat to ulica. Jedno, dwoje, póki małe, proga się trzyma, starsze, jeśli znajdzie się dla nich miejsce w ochronce to los, jeśli nie, to im się mówi:—nie zawadzaj! szukaj chleba! bywa i gorzej, bo im się wręcz mówi: znajdź, a nie dodaje cię: za pracą. Za nauczyciela i doradcę służy—głód, i malutkośmio—dziesięcioletni jaskiniowiec wielkomiejski wyrusza na łup! Od czegoż jest przeczorny, obeznany z miastem, zwinny, mały, szary, nieledwie że niewidzialny i do tego głodny! od czegoż są targi, rynki, zbiegowiska, złe strażone stragany, otwarte sklepy, rozprzedane tłumne, kieszenie na wierzchu damskich okryć, od czegoż jest kłamstwo, udane łzy, kłęski domowe wyliczane piskliwie, toż to ogromna arena—obszerna i niezbyt trudna, mały zapaśnik uwija się jak może i—dopina celu. Utrzymywając się zaczyna sam, szybko odczuwa swą niezależność i nabiera zuchwałości buty, niesłychanej zrzeczności, brudnego doświadczenia i szkaradnych nałogów, tych początków upadku. Z tem wszystkim to jeszcze dzieciak; jeśli dostanie się w dobre ręce opiekuńcze, to skorupa nędzy opadnie z niego, serce jak słodkie ziarno tkwi wewnątrz jego istoty, i czysta wiosna ucziwej pracy rozwinąć je może; ale jeśli nie wypłynie z tej błotnistej toni społecznej, jeśli z niedopałkami znalezionej papierosów i cygar wytli mu się wszystko w duszy, jeśli ten chłopak 12 letni, ta dziewczyna 14 letnia ugrzęzną w otchłani próżniaczych zaułków miasta i ducha, to już daleko szybko staczać się zaczęła po pochyłości moralnej i jeśli ich nie uratują zakłady dla małoletnich przestępców, to dalsze życie nie będzie już szkołą—lecz krętym gościńcem wiodącym wprost do więziennych murów. Tych wiek małych, opuszczonych, zostawionych wrażeniom ulicy, zaniebanych przez rodziców własnych, tych nadliczbowych odrzutków od ochronki, warsztatów i sal zatrudnień—postanowiono ratować; gdy raz: „lasciate ogni speranza,” zapadną w okrąg piekielne zepsucia, przepadli; póki się chwilej nad socyalną otchłanią można ich ocalić i uczyć nie z nich żywioł zdrowy i pracowity którego przecie nie mamy za wiele. Na tym właśnie niebezpiecznym przełomie, kiedy wiek dziecinny się kończy prawie, a dla dziecka biednego i ten okres szczęścia trwa krócej, a pierwsza młodością, na tym przełomie kiedy wady dziecinne przechodzą w nałogi, skłonności przerażają się w złe popędy, a odziedziczone namietności w brzydkie żądze, kiedy by właśnie trzeba szkodliwe wpływy usunąć i zmniejszyć,—to małe stworzenie wystawione jest na cały pęd różnych pokus przedwczesnych, w które się rzuci zrazu bezwiednie, potem z przyzwyczajenia z ciekawości, dalej już odjąć się im nie może i one go zjadają, chłoną, dławia, odrzucając p latach zżarnowaną istotę społeczeństwu—na sąd dla ukarania!

Nic dziwnego, że społeczeństwo dojrzałe za nim się do sądu nad tą nędzą, nieletnią zabierze; czuje w sumieniu własnym pewien bardzo słuszny niepokój nad rzeczywistym rozdziałem win w tym wypadku, bo skoro to dziecko nie było przez nikogo wychowywane, przez nikogo strzeżone, nie ratowane, to jakże domagać się od niego przechowania skarbow moralnych, których mu nikt nie powierzył!

Gdybyśmy my, dojrzały ludzie, naraz stracili zostali w nędzę, w głód, w braki wszelkie, w panikę, chorobę i niezdrowe wrażenia, ratwalibyśmy się zawsze sami jakbądź, ale nie doznając żadnej pomocy, takbyśmy zdziczyli z dłuższym czasem, jak dziecięje i wyradza się z tego zrucone na pastwę wszelkich złych wpływów i nędzy w czasie, kiedy jego ciało i duch rośnie i rozwija się i staje się tem właśnie, czem świat otaczający urabia. I taką zmaltretowaną przez siebie istotę, mógłby świat tylko—sądzić

i karać? Współwinowajca nie ma prawa ani sądu ani wymiaru sprawiedliwości i nad tą ciężką niedolą dziecka długo zamyslać się musi, zanim skutki jego przedwczesnych win, nawet przestępstw—rzetelnie rozsądzi.

Pozostaje tylko zapobieganie złemu, ratunek dla tych setek, dla tych tysięcy drobiazgu ludzkiego między rokiem 7 a 12, dla których właśnie najmniej jest przytulku, najmniej miejsca bezpiecznego na świecie. Rodzice już nad tem nie czuwają, ochronki pomieścić nie są w stanie, elementarnych szkółek mało, do warsztatów, sal zajęć i terminów rzemieślniczych ta gromadka nie dorosła, więc zostaje—ulica, ze swymi bogatymi sklepami, lechzącymi próżność, z cukierniami kuszącymi łakomstwo, ciągłą zmianą usposabiającą do gapienia się i próżniactwa, z echemi widoków, z gorączką używania którą mały człowiek już odczuwa, więc też ta paszcza stołeczna chłonie drobny zarybek społeczeństwa i jedną część odrzuca wprost ziemi cmentarnej, drugą szpitalom, trzecią w przyszłości więzieniom. Znalazł się gorący głos, który niedawno, przemówił serdecznie, śmiało, umiejętnie, kreśląc tę dziecku niedolę bezdomną i wołając dla niej o ratunek. Odezwa ks. Michała Radziwiłła nie została głosem na puszczy, podjęto ją sympatycznie, i tu i tam, i owdzie, różne głosy złączyły się w wspólny zastęp narad nad konieczną potrzebą utworzenia nowej instytucji, któraby się wyłącznie zajęła opieką nad opuszczonymi dziećmi. Instytucji stworzyć nie łatwo, kosztu wielkie a określenie jej działalności wcale niełatwe; skoro jednak potrzeba jej stała się nieodzownym, już obowiązkiem sumienia publicznego, czas w czyn ją weieli, starcie się zdań ludzi fachowych ustali zasady jej istnienia, praktyczne doświadczenia i hojność ludzka, umożliwią początek—i rzecz stanie, a niewątpliwie każdy kto niedolę dziecka w sercu swem odczuwa, pragnie aby ta rzecz nowa i dobra stała się jaknajprędzej, ugruntowała jaknajmocniej, utrzymała jaknajwytrwalej.

Będzie to więc niejako moralna stacya ratunkowa dla opuszczonych dzieci, które znajdują tam to wszystko, czego im rodzice własni nie dali w domowych, rodzinnych czterech ścianach.

Jest jednak inna niedola dziecka tkwiąca w tej sprawie, której ani ta, ani żadna instytucja dla dzieci nie usunie—niedola okropna dla dziecka, najgłębsza, najbardziej rdzenna, najniebezpieczniejsza—niedola posiadania *takich* właśnie rodziców, których zastępować *muszą* instytucje!

Tych rodziców też nie wychowywał nikt, tak samo wzrosli na ulicy, w biedzie i złem, w pracy i zepsuciu; to co usłyszeli dziećmi w ochronkach, czego się nauczyli w warsztatach i szwalniach, jedno się zapomniało, z drugiego ciągnie się chleb powszedni, a życie męczące i wabi, ciężkie i wyczerpuje siły fizyczne i moralne,—co tacy rodzice dać mogą swemu dziecku? Czyby więc nie warto ratować tych rodziców przedewszystkiem, im nieść ratunek duchowy, im przypomnieć czego zapomnieli, ułatwić co im za ciężkie, aby tych rodziców wrócić dzieciom i przyrodzony nurt wychowania małego dziecka zawrócić w naturalne łożysko pierwotne—rodziny. W Medyolanie założono niedawno „Szkołę dla matek“ w której będą korzystać najbiedniejsze kobiety z ludu z bardzo przystępnych wykładów i rozmów z dziedziny religii, pedagogii, higieny i prawa rodzinnego, w godzinach popołudniowych dwa razy na tydzień. O ile to będzie praktyczne, czas pokaże po latach paru istnienia tej szkoły. Zawsze to jednak sprawa trudna przemawiać do biedaków o ich choćby najświętszych obowiązkach wtedy, kiedy oni już są znękani niedostatkiem, zniechęceni walką o kęs chleba, zubożeni na wszystko lepsze przez nawalonych wspomnień, ozuchwaleni przez długie bezkarne zepsucie. Ale czyż to zapóźno? Pytanie i konsekwencje posunęłyby nas tu za daleko w docieraniu do pierwszej przyczyny, która niewątpliwie leży w stanie ekonomicznym najniższych, tych zaułkowych, suterynowych pokładów ludzkości. Gdyby zaułków, suteryn, rozpaczliwej nędzy u spodu ludzkości nie było, gdyby nie było zaduchu, głodu i ciemności w izbach gdzie lu-

dzie mieszkają „kątem“, i w głowach kędy się legnie zło, gdyby dzieciak nie uciekał na ulicę, gdyby *rodzina* mogła się bez dobroczynnych instytucji rozwijać swobodnie, przy ciężkiej nawet pracy, ale przynajmniej w możliwych warunkach bytu—wówczas dziecko miałoby—rodziców naprawdę i skończyłaby się jego największa niedola,—ale tyle, tyle jest rzeczy trudnych do zwalczenia na tej drodze, a tymczasem tyle tego drogiego drobiazgu marnieje—że istotnie nie dziwnego, gdy dobroczynna, a mądra ręka wyciąga się niecierpliwie najpierw po tonące w mętnej głębi piskłę, zanim się myśl zastanowić może, dlaczego gniazdo nie było dostatecznie strzeżone i bezpieczne... Każda niedola społeczna jest zresztą taką bezdennie smutną plataniną różnych trzymających się siebie wzajemnie nitek, że, za którąkolwiek pociągnąć, drga w pamięci całe to pasmo nędzy żywota, leżącej jednak przed nami—do koniecznego, obowiązkowego odpracowania, do przetworzenia...

Szczesna.

POGAWĘDKA.

Będzie wojna czy nie będzie, czy mała Grecja wyzwie wielką Europę na rękę, czy wielka Europa da nieposłusznemu małcowi po nosie, nie wiele to nas w danej chwili obchodzić może, mających dość kłopotów w domu własnym. Jest jednak nadzieja, że damy sobie radę z kłopotami, snujące się piękne po głowie naszej projekty w czyn zamienimy i zaznaczymy wyraz żywotności naszej, o której niektórzy, małego ducha ludzie, wątpili.

Obecnie myśl całego społeczeństwa naszego zajęta jest pomnikiem dla piewcy „Pana Tadeusza.“ — Nie masz dnia ażeby dzienniki nie podawały czego nowego w tej materii, ażeby do najważniejszego, a postanowionego w zasadzie „pomnika“ nie przybływały coraz to nowe projekty, mające upamiętnić wielką rocznicę urodzin naszego wieszca. Nie dziw! ogarnął on wszystkie stany, przemówił do wszystkich serc, złotą strzałą utkwiał w pamięci wszystkich.

O zebranie odpowiedniego funduszu na pomnik, choćby składającego się z summy dwóch-kroć stotysięcy rubli—kłopotu nie będzie. Wielcy i mali z chętną pośpieszą ofiarą, czego już dzisiaj mamy dotykane dowody. Pozwolimy sobie choć w części szeregować zobowiązania się niektórych instytucji i korporacji, ażeby czytelników naszych zaznajomić z ofiarnym ruchem naszego społeczeństwa, a że nie tylko złe przykłady mają własność zaraźliwą, czynimy więc to tem chętniej. Naśladowców nie zbraknie, każdy poczuje się do wypełnienia obywatelskiego obowiązku.

Zaledwie postanowiona została myśl zbudowania pomnika Mickiewiczowi, jak bez żadnego jeszcze nawoływania ogółu do składek—ogół sam dał wyraz swoim uczuciom. Urzędnicy dyrekcji głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego postanowili w ciągu roku całego drobne wkładami miesięcznymi zebrać pewien fundusz na pomnik. To samo uczynić zobowiązali się urzędnicy Towarzystwa „K. Rudzki i S-ka“ dalej, w liście do „Kuryera Warszawskiego“ zawiadamiają artyści Teatru Małego, iż na rzecz pomnika ofiarują pewien procent od pensyj swoich za r. b. Z podobnymi deklaracyami oddawali się „urzędnicy warszawskiego oddziału banku handlowego w Łodzi“ oraz współpracownicy firmy „Bogusław Herse“ jako też współpracownicy firmy „W. Popowicz i S-ka.“ Dalej—„urząd starszych zgromadzenia rzeźników Warszawskich“ pragnąc ze swej strony przyczynić się choć w pewnej części do powiększenia funduszu na budowę pomnika dla „wielkiego poety“ postanowili od dziś (d. 16/3 r. 97) zając się zbieraniem dobrowolnych ofiar od członków rze-

czonego zgromadzenia i otrzymaną sumę, we właściwym czasie, doręczyć, mającemu się utworzyć komitetowi. „Urzędnicy i oficjaliści biura zarządu warszawskiego Towarzystwa fabryk cukru“ postanowili również przez rok cały odkładać pewien odsetek z pobieranych miesięcznych zasług na rzecz pomnika. To samo czynić zobowiązują się współpracownicy domu handlowego Juliusza Wertheima“ i t. d. i t. d. i t. d....

Widzimy, że już zrobiono początek piękny, jesteśmy pełni wiary, że koniec uwieczny dzieła. Warszawa dała początek, od niej szerokim kręgiem popłyną dalej te fale i uderzą o krańce ziemi naszej, budząc wszystkich do spełnienia narodowego dzieła. Znajdą się jednostki, które tyśiące dadzą, lecz w tym wypadku najważniejszym jest grosz ogółu. Słyszeliśmy że artysta rzeźbiarz, Weloński, ofiarował się z wykonaniem pomnika. Można więc z góry powiedzieć, że twórca „Gładyatora“ przepiękną rzecz stworzy.

Teraz wróćmy do niektórych jeszcze projektów, które się rodzą jak grzyby po deszczu i nie prędko się skończą. Z tej masy wyróżniamy dwa szczególnie, na które komitet „Pomnika Adama Mickiewicza“ powinien zwrócić uwagę.

Jeden z czytelników „Kuryera Codziennego“, rzuca myśl utworzenia „Towarzystwa przyjaciół Mickiewicza“, którego zadaniem byłoby zakładanie w miastach i osadach fabrycznych szkółek lub ochronek dla dzieci od lat 4 do 8. Szkółki takie i ochronki, gdyby nawet nauka w nich ograniczała się tylko do czytania, pisania i wykładów początków zasad religii, mogłyby oddać nieocenione zasługi. W razie gdyby została popartą przez ludzi, którzyby zamienili ją w czyn pragnęli, projektodawca ofiaruje jako początek funduszu zakładowego rubli sr. 25.

„Podobne towarzystwo—dodaje Kuryer—nie wykracza przeciwko istniejącym przepisom o zakładaniu szkółek ludowych, zatwierdzenie więc odpowiednio opracowanego projektu nie powinoby, zdaje się, spotkać oporu w sferach rozstrzygających.“

Dobremi mogą być różne projekty: nazwanie ulicy ulicą Mickiewicza, placu placem Mickiewicza, parku parkiem Mickiewicza, ale powyższy projekt ma przed innymi pierwszeństwo. Gdybyśmy mogli wywołać ducha Mickiewicza i spytali go:

Czy dobrze?...

Usłyszeliśmy odpowiedź:

Wszak ja pragnąłem dożyć „tej pociechy, Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy; Żeby też wzięły wieśniaczki do ręki Te księgi, proste, jako ich piosenki.“

Drugi projekt, powiedzieliśmy, że niemniejszej wagi—na zapytanie: gdzie ma stanąć pomnik Mickiewicza? słyszymy wygłoszony przez usta I. Tokarzewicza (Hodi). Mówi on o obowiązku wzniesienia pomniku na ziemi rodzinnej wieszca, w Nowogrodku mińskim.

Nie jest to jednak odpowiedź na pytanie, gdzie ma stanąć?—Rzeklibyśmy. „Warszawa musi mieć pomnik—Nowogrodek *powinien*; w murach Warszawy musi stanąć monument o potężnych rozmiarach, w Nowogrodzie mniejszy, (boć fundusze w grę tu wchodzi), ale postawić go tam byłoby bezwarunkowo obowiązkiem naszym.

W tygodniu ubiegłym obchodziliśmy dwie rocznice, urodzin i śmierci dwóch najznakomitszych pisarzy naszych. Była to stoletnia rocznica przyjścia na świat (19 Marca) Józefa Korzeniowskiego, powieściopisarza i dramaturga—oraz dziesiąta rocznica śmierci tytana pracy, który przeszło pół wieku zasilał społeczeństwo polskie siłą swojego rozumu i ciepłem swojego serca; który zdumiewał obszarem swej wiedzy, wszechstronnością umysłu, i był jednym z tych wybranych, co za życia swojego otrzymali hołd całego świata, i wyraz uznania narodu we wspólniejszej uroczystości Jubileuszu, obchodzonym w prastarym grodzie Piastów.

Komuż w tej chwili na myśl nie przychodzi Józef Ignacy Kraszewski, którego, zaiste, dzieł wszystkich odczytać trudno, któremu w obfity-

ści i różnorodności prac nikt jeszcze nie dorównał.

Dwie rocznice zeszyły się w dniu jednym, i serca nasze uderzyły w piersiach wspomnieniami lat dawnych, w których Kraszewski i Korzeniowski przemawiali do nas niezatartym dotąd urokiem swych powieści.

Powieść należy do tego rodzaju działów prac literackich, które się najszybciej starzeją. Przechodzą nowe formy, nowe wymagania, zresztą ludzie nowi—i powieść dawna, z brakiem swej głębi psychologicznej, pozbawiona skalpelowania duszy ludzkiej, usuwa się w mgłę, w ciszę i pokrywa ją szary mrok zapomnienia.

Srogiego tego losu, tego nieuniknionego wyroku zmiennego czasu, nie unikną i dwaj Józefowie nasi. Wśród prac ich jednak znajdują się powieści społeczne i obyczajowe, które niespożyta wartość będą mieć zawsze. Nie tylko historyk literatury, lecz i badacz dziejowy—skarby złota tam znajdzie.

Kraszewski i Korzeniowski żyli w czasach, i pisali w czasach—(szczególnie ostatni) zupełnie odrębnych od naszych. Ludzie owcześni inne mieli poglądy na rozmaite kwestye społeczne, niż my dzisiaj; inne zabarwienie miało i życie towarzyskie, które nie tylko koncentrowało się w środowiskach miejskich. Wieś żyła życiem odrębnym a pełnym, stosunek dworu do ludu był inny, inne oddziaływały wpływy na kształtowanie się społeczeństwa, może cnót było więcej, może grzechów więcej, lecz, bądź co bądź, różniących się nieco od dzisiejszych cnót i grzechów.

Doniosłe wypadki, jakie odegrały się przed laty trzydziestu kilku, zmieniły znacznie fizjonomię dawnego społeczeństwa. Lecz jakim ono było przed owym w kłęski brzemmiennym kataklizmem—niełatwo odtworzyć późniejszemu dziejopisowi, a nie mamy zwyczaju zestawiać notatek, charakteryzujących ludzi, z którymi się nieraz część życia przeżyło notatek, z których można byłoby ułożyć zarys jakiś, dotyczący się obyczajów i zwyczajów, poglądów i przesądów danej chwili, danej warstwy, danej prowincyi. A przecie narody nie składają się z jednostek, które wyższością swojego umysłu czy serca narzucają się same pamięci: one są wytworem sił pewnych, treścią mas, z których wypłynęły na powierzchnię fał życia; obfite a różnorodne czynniki składają się na wytworzenie tych rozmów i serc. Szukać więc ich potrzeba w zbiorowisku ludzkim, w tych drobnych falach życia ogółu społeczeństwa, które z głębin swoich dało Tadeuszów, Juliuszów i Józefów.

Jeśli zadaniem powieści nie jest li tylko fabuła, zabawiająca czytelników zręcznym powikłaniem intrygi, lecz wierne odtworzenie znanego sobie dobrze społeczeństwa, wierny rysunek dążeń i pragnień jego, poziomu myśli lub marzeń wznioślejszych, zasklepianie się w pewnych formułkach, czy ślimaczej skorupce,—przedstawienie walk, prowadzonych w imię takiej a takiej idei, oporu przeciw nowym prądom—w takim razie powieść przechodzi zakres zwykłej salonowej zabawy, staje się rzeczą bardzo poważną i niezrównanym przyczynkiem do historii cywilizacyi.

A sporą liczbę takich powieści znajdziemy u Korzeniowskiego i Kraszewskiego.

Jeżeli zechcemy wiedzieć, jakimi w życiu domowem, stosunkach sąsiedzkich i obywatelskich, byli nasi ojcowie i dziadowie; jakie w danej chwili zajmowały ich sprawy, jakim się bogom kłaniali, co robili, jak zapatrywali się na kwestye narodowe czy ogólnoludzkie,—jaka płynęła krew w ich żyłach, jakie myśli po mózgu się im snuły; zresztą, jeżeli zechcemy porównać nas samych z ludźmi owych czasów, dowiedzieć się, jak się przeobrażały poglądy nierozumiane lub odrzucane dawniej—to wszystko nam powie prawdziwa powieść obyczajowa, skreślona piórem autora „Ostapa Bandarczuka“ lub autora „Tadeusza Bezimiennego.“

Całe życie, przeszło półwiecza, pewnych części kraju naszego, skupiło się w literackich pracach tych dwóch Józefów. Wczytując się w ich powieści poznajemy dopiero dokładnie ca-

łe duchowe życie owych ludzi, z którymi nas łączy nie jeden grzech i łza niejedna. Cóż dziwnego, że na odgłos o rocznicy śmierci Kraszewskiego i Korzeniowskiego, zaroily się mury święto-krzyskiego kościoła, w którym, chciał Kraszewski by serce jego spoczęło i cmentarz Powązkowski, gdzie znajduje się grób Korzeniowskiego.

Dnia 18 Marca r. b. odbyło się żałobne nabożeństwo w kościele Ś. Krzyża za spokój duszy ś. p. J. I. Kraszewskiego, potem nastąpiło poświęcenie pomnika dokonane przez celebranta I. ks. Siewruka. Po mszy tłum cały zwrócił się ku lewej nawie, gdzie w niszy umieszczone zostało popiersie brązowe Kraszewskiego, nad którego głową stanęły dwie postaci alegoryczne, *Wiedza* i *Praca*, wieńczące laurem olbrzyma zaśług i pracy. U góry, na kapitelu z czarnego marmuru widnieje napis:

„J. I. Kraszewskiemu—rodacy.“

a niżej:

D. O. M.

„Józef Ignacy Kraszewski, ur. 28 Lipca 1812 r. w Warszawie, zmarł 19 Marca 1887 r. w Genewie, pogrzebany dnia 21 Kwietnia t. r. w Krakowie.“

Powieściopisarz, poeta, dramaturg, historyk i publicysta.

Światło miłował, światło szerzył lat 58 bez odpoczynku—niechaj mu światłość wieczna świeci—niech odpoczywa w spokoju wiecznym. Amen.“

Kraszewski chciał, by serce jego złożone było w kościele Ś-go Krzyża, gdzie łaski chrztu doświadczył; chciał, by położono krótki napis na tabliczce:

Niech serce, co dla was było
Pod obcą nie schnie mogiłą...

Rocznica śmierci Kraszewskiego przywoływała nam na myśl sprawę pewną.

Podczas pogrzebu autora „Starej Baśni“ zawiązało się Towarzystwo imienia jego z zamiarem zebrania funduszu, w summie 10,000 złr. jako stypendyum dla kształcących się kobiet. Od owej chwili upłynęło lat dziesięć, a fundusz stypendyjny zaledwie przekroczył okrągłą sumę 2,000 zł. Wprawdzie rok rocznie korzysta z tej sumki po kilka kobiet, lecz w obec warunków pracowni naszych i ich niedoli—fundusz ten zanadto jest mały. Obecnie jest czas po temu, by przypomnieć o ustanowionem stypendyum Kraszewskiego i doprowadzić je do cyfry normalnej.

W dniu Ś. Józefa Oblubieńca odbyło się nabożeństwo żałobne w kościele Powązkowskim za duszę ś. p. Józefa Korzeniowskiego. Pomimo chłodu i deszczu tłum liczny nappełnił świątynię. Zgromadzone w niej ujrzelismy dwa pokolenia. Na odgłos dzwonka pochylały się siwe głowy starców i czoła młodzieży uniwersyteckiej, nie dziw, że pierwsi z większą modlili się skrucą, bo dużo już wspomnień zostawili za sobą, coraz mniej dokładając nowych.

Po nabożeństwie udaliśmy się do pobliskiego grobowca, kędy umieszczono tablicę z napisem: „W setną rocznicę urodzin ś. p. J. Korzeniowskemu.“

Korzeniowski spoczął w grobie familijnym, nad którym wznosi się krzyż kamienny z wypukło-rzeźbą księgi i pióra i z napisem u góry:

„Panie! pociesz nas i umocnij...“

Z boku, na tymże pomniku widnieje napis, wiersz pióra samego Korzeniowskiego z r. 1854 położony ku pamięci zmarłego w ówczes syna. Oto jego dosłowne brzmienie:

„Zaprawdę życia jego zniknęło zaranie,
Uciekła z ziemi dusza pobożna i czysta,
Więc wieczny odpoczynek racz mu dać, o Panie!
I spraw to: niech mu świeci światłość wiekuista,
A nam, cośmy zostali, daj święte ufanie,
Że ta droga za grobem, niepewna i mglista,
Na którąś rzucić raczył cienie tajemnicze,
Złączy nas i przed Twoje sprowadzi oblicze.“

Podajemy tu wiersz ten, jako mało ogółowi znany i nieobjęty (zdaje nam się) żadnem wydaniem pism Korzeniowskiego, jako też nigdzie niedrukowany.

Na upamiętnienie rocznicy urodzin Korzeniowskiego Teatra warszawskie wystąpiły ze scenicznymi pracami ś. p. Józefa. I o dziwo! przesypane pyłem starości, wionęły ku nam dziwnym młodości tchnieniem: młodzi słuchali z zajęciem, starzy w sercach czuli urok dawnych wspomnień, tych wspomnień dobrych, które są pokarmem duszy w smutnych dniach życia. Przedstawienia sztuk Korzeniowskiego: „Nad Czeremoszem“ (Karpaccy górale) „Panna Mężatka“, „Pani Kasztelanowa“, „Qui pro quo“ „Dwaj mężowie“ i „Okreźne“ we wszystkich Teatrach naszych, zapełniły salę widzów po brzegi. Artyści byli przyjmowani owacyjnie, oklasków i kwiatów nie brakło.

Nie mamy potrzeby dodawać, że wszystkie pisma poświęciłyśmy swoje wspomnieniu dwóch Józefów. Kraszewski nawet z za grobu odezwał się do nas pracami nieznanymi dotąd.—„Tygod. Ilustrowany“ i „Kurier Codzienny“ rozpoczęły druk paru utworów jego z „Cyklu Bajek dla starych i młodych dzieci“,—pierwszy: powiastkę p. t. „Koza czarna“ drugi—„Bajka o Marzannie i Urodzie.“

Rocznice Korzeniowskiego nie tylko Warszawa uczciła—wszystkie ważniejsze miasta królestwa dały mieszkańcom swoim przedstawienia teatralne. Najokazalej wystąpiły (o ile ze sprawozdań sądzić można) Piotrków i Lublin, rozłożyszy obchód rocznicy na dwa dni z rzędu mianowicie 18 i 19 b. m. Wystawiono tam popiersie Korzeniowskiego i odśpiewano kantatę.

W Piotrkowie odegrano „Okreźne“, Teatr lubelski zapowiedział „Okreźne“ „Okno na pierwszym piętrze“ i „Nad Czeremoszem.“ Towarzystwo muzyczne w Kaliszu ku uczczeniu rocznicy urodzin Korzeniowskiego urządziło przedstawienie amatorskie złożone z komedyi „Majster i Czeladnik“ i koncertu. W Kielcach „odegrano“ Panią Kasztelanową i „Okreźne.“ w Sosnowcu „Żydów“, teatr Łódzki poświęcił wieczór czwartkowy wyłącznie utworom Korzeniowskiego. Na widowisko złożyły się: „Pani Kasztelanowa“ „Okreźne“ „Majster i Czeladnik“ i jeden obraz z „Żydów...“—Zamieszkały w Łodzi rzeźbiarz p. Władysław Wojtasiewicz zrobił odlew z świeżo ukończonego biustu Józefa Korzeniowskiego i—jak wieść głosi—ma go ofiarować do jednego z tamtejszych kościołów; krom tego powstał projekt zebrania funduszu na wmurowanie w innym kościele tablicy poświęconej pamięci jubilata.

Poświęciliśmy sporo miejsca przypadającym uroczystościom chwili obecnej, ale cóż ważniejszego mogło być do zanotowania, nad czem w danej chwili myśl nasza zatrzymać się mogła, jeżeli nie nad nazwiskami: Mickiewicza, Korzeniowskiego i Kraszewskiego.

Lecz oto zbliża się wiosna niepewna jeszcze, mgława i szara. To błądy promień z za chmur czasami strzeli, trochę jaśniejszy, cieplejszy trochę; to ziemię znowu mróz ściśnie, jakby mówił:

—Poczekajcie! nie czas jeszcze na kwiaty i zieleń, na pieśni słowicze i marzenia wiosenne!...

Ale wiosna nadejdzie, nadejść musi, nie z mogą jej żadne wysiłki, moc żadna.

Z pierwszemi promieniami wiosennego słońca dobiega do nas głos wysłany przez opiekunów kolonij letnich:—Od lat kilkunastu żyliśmy ofiarnością waszą; ofiarność wasza dała działwie ubogiej słońce i powietrze, wesele i zdrowie. Nie zapominajcie i nadal o tych małych pasierbach losu o tej działwie zrodzonej w biedzie, która z bijącym sercem oczekuje chwili wylotu z murów miejskich, rozjaśnione nadzieją podnosi oczy ku niebu, po którym coraz lżejsze, bielsze obłoczki płyną, gdzie coraz szerzej roztacza się płaszcz błękitów i zadzwoni lada chwila kwilenie żorawianych kluczków powracających do opuszczonej ojczyzny.

—Szczęśliwe żorawie, —szepcą ustka dziecięce!—ale... i ludzie są dobrzy.

Tak! byliśmy dobrzy i nadal dobrymi będziemy—nie wątpię o tem! Każdy z nas grosz zbyszający rzuci do skarby kolonii letnich, rzuci z chęcią, by miała dziatwa biedna, odrobine słońca, powietrza i zieleni.

Nie prawdaż?

Nie mogę złożyć pióra, by nie wspomnieć o wieści bolesnej, która echem żałobnego dzwonu rozbiegła się po równinach Czech. Umarł przyjaciel Polaków, serdeczny druh ich, nieodżałowany *Edward Jelinek*.

My umiemy szanować przyjaźń, umiemy wdzięcznymi być za przyjaźń. Dar to rzadki, szczególnie tak rzadko spotykany wśród obcych. Jelinek znał nas, kochał i pracował usilnie nad zbliżeniem się dwóch ludów słowiańskich do siebie: nas i Czechów. I była chwila przed laty, że oba bratnie narody wyciągały dłonie do siebie. Jelinek nad tem pracował gorąco. On i inni przedstawiciele czeskiej inteligencji zaznajamiali z nami swoich rodaków; ku temu pięknemu celowi prowadziły odczyty, pogadanki i artykuły pisane o nas. Przyszła jednak chwila, w której więcej prądy polityczne oziębiły ten stosunek.

Kto temu był winien—pokażą późniejsze dzieje. Jelinek uczuciom swoim pozostał wierny.

Uprzejmy, gościnny, chętnie widział w progu swojego domu przybyszających do niego w gościnę Polaków. Oprawdzał ich sam po Złotej-Pradze, serdecznym przyjęciem podbijając serca gości.

Zmieniały się czasy, ludzie i opinie—on pozostał wierny dawnym przyjaciółom swoim. Dowodem tego są jego „Wspomnienia z Warszawy” drukowane w gazecie czeskiej „Politik”, wspomnienia, w których czujemy ciepło tego zacnego serca i żywą sympatię dla narodu naszego.

Pamiętał o nas i w dniu śmierci, zapisując piękny księgozbiór swój dzieł czeskich Bibliotece Jagiellońskiej. Umarł w lat kwiecie, z ogólnym żalem swojej i naszej ojczyzny. Redakcja „Svetožora” przesłała dziennikom naszym kartę żałobną z następującym napisem:

„Ś. p. Edward Jelinek,

literat czeski i polski, członek Czeskiej Akademii, członek honorowy Towarzystwa Historyczno-literackiego w Paryżu, członek korespondent instytucji Museo Copernicano w Rzymie, rzeczywisty członek Towarzystwa Mickiewicza we Lwowie, członek honorowy Ogniska polskiego w Pradze i t. d. i t. d.

rozstał się z tem życiem, opuścił dzieło, któremu poświęcił swoje siły i przeniósł się do wieczności. Zmarł 15 b. m. o godzinie 10 wieczorem, nie dożywszy lat 42 życia pełnego zasług. Nabożeństwo żałobne odprawione będzie we czwartek d. 18 b. m. o godzinie 3 po południu w kościele parafialnym Świętego Haształa, a następnie wyprowadzimy zwłoki drogiego zmarłego na cmentarz Olszański dla czasowego spoczynku.

O tem, w imieniu brata zmarłego p. Wiktora Jelinka, z sercem rozrzuconem zawiadamiamy licznych przyjaciół zacnego nieboszczyka w drogim jego sercu języku polskim.

W Pradze Czeskiej, 16 Marca 1897 r.

Redakcja „Svetožora.”

??

KOMEDYA ŻYCIA.

Zycie to często farsa—banalna i blada,

Z talentem rozpoczęta, lecz marnie skończona. Cudny krajobraz złudzeń odkrywa zasłona—[na. Akt pierwszy czasem dramat wzniosły zapo—

[wiada—

Zdaje ci się, że uczuć czarodziejska siła

Rozkosznych barw przed tobą rozsnuje kobierce,

Że ledwie zdoła w sobie pomieścić twe serce

Te skarby, które zapal młodości rozdaje...

I czekasz, wierząc z żywą upragnienia siłą,
Że na scenie coś wielce szczytnego się stanie,
Coś, co w piersi twej zrodzi wielkie ukochanie,
I rzuci blask na wszystko, co drogiem ci było...

I zapali przed tobą ideałów słońca,
Abyś kochał i pragnął i myślał inaczej—
I dowiesz się, czym jesteś, i co byt twój znaczy,
I jakie złote nici duch snuć ma do końca...

Ale czekasz daremnie. W coraz bledszej treści
To samo się powtarza... Śmiech, łzy i spojrzenia
Wciąż jednakie, jednakie... i nic się nie zmienia:
Ni w okrzykach wesela, ni w skargach boleści...

Nie wiele się w ostatnim dowiedziałeś słowie—
Jeszcze czekasz—aż oto już wszystko skończone!
Śmierć, straszny maszynista, zapuszcza zasłonę,
Światła gasną, odchodzą ciekawi widzowie...

Nie chcesz wierzyć, że dramat życia odegrany,
Że wszystko ci zasłoni wieczyste uspienie;
Że życie, które w wielkie rwało się przestrzenie,
Ma zamrzeć, uwięzione w ciasne grobu ściany...

Antoni Pilecki.

N A Ł A S C E

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

*

*

Natalia przyjeżdża!

Wiesć ta obiegła szybko dom cały, dostała się i do małego pokoiku Janiny, mącąc spokój nie bardzo jeszcze silnej po chorobie sieroty.

Czemu ona instynktowo jakoś bała się pięknej pani, czemu serce jej drżało w niepokoju na myśl, że pani Natalia czas jakiś pod tym dachem zamieszka? Janina nie wiedziała...

Gdy nazajutrz, w południowej porze wysłano powóz na stację kolei, Janina nie mogła oprzeć się dziwnemu uczuciu ciekawości i przeszła do saloniku na pierwszym piętrze po drugiej stronie domu, z kądem widać było zajeżdżających przed ganek.

Zobaczyła więc wysiadającą w długim jedwabnym jasnym płaszczku od kurzu, zamotaną w przejrysty biały gazowy welon, z pod którego można tylko było domyślać się, że piękna była. Postać Natalii zgrabna, elegancka, ruchy żywe i śmiech wesoły gdy się z paniami witała, oto co uderzyło Janinę na pierwszy rzut oka, i o czem myślała wracając do swego pokoju.

Pokój ten bardzo pustym jej się teraz wydał; panna Olimpia wróciła do swoich obowiązków jeszcze przed paru dniami, Kamilli spodziewać się nie można było teraz, kiedy na dole miała przyjemne zajęcie z gościem. Janina, która dawniej nieswoją dziś była, zapragnęła jakiegoś absorbującego zajęcia: czytać nie mogła, więc kazała sobie przynieść krosna z owym rozpoczętym ornatem, i zabrała się gorączkowo do roboty. Ale siły dopisać nie chciały... igła rychło z dłoni wypadła, i łzy zakręciły się w oczach młodej dziewczyny.

Zastała ją tak pocziwa panna Olimpia, która przyszła odwiedzić swoją przyjaciółkę.

— Cóż to? pracujesz? panno Janino, czemu pani się nie szanuje? doktor wyraźnie zalecił że-

by przez czas dłuższy wypocząć, a pani lekceważy jego napomnienia...

— Nie, pani droga, ale mi tak nudno, smutno... sama nie wiem po co żyję...

Łzy grube spłynęły z pod spuszczonej powieki a cała postać Janiny wyrażała zniechęcenie, które tem przykrzejszy czyniło widok, że młoda energiczna dziewczyna niełatwo poddała się temu uczuciu.

Panna Olimpia pokiwała głową.

— Niepodoba mi się to...—rzekła.

Wstała i bez żadnych dalszych uwag odsunęła krosna od Janiny, składając robotę.

— Myślę nad tem, — rzekła, siadając znowu na tem samym miejscu, — myślę, że pani coś raźniej wypada. Nie możesz tu siedzieć sama, a zajmować się jeszcze także nie możesz. Czy panna Kamilla nie odwiedza pani?

— Owszem, ale Kamilla ma gości... teraz czasu nie ma. A zresztą... jakby to wyglądało, żeby ona przychodziła tutaj nudzić się zemną!

— A jednak pani towarzystwa koniecznie potrzebuje... już wiem co zrobić! żeby tylko hrabina pozwoliła, zabiorę panią na parę dni do siebie!

— Och! weź mnie, weź mnie pani!

Janina skłoniła rozradowaną twarzyczkę na ramię panny Olimpji, tuląc się do niej jak dziecko.

— Nie wiem tylko czy hrabina się zgodzi...—mówiła tymczasem panna Olimpia, wracając do tego co ją najbardziej obchodziło.

— Hrabina...—powtórzyła Janina. — Czy pozwoli?... Dziś są goście, przyjechała jedna pani z miasta, i ma tutaj pozostać na dłużej...—mówiła w zamyśleniu.

Głośnie rozmowa rozległa się w tej chwili pod oknami; widać wstano już od stołu i po obiedzie całe towarzystwo przechadzało się po ogrodzie. Janina słyszała śmiech pani Natalii, mężki głos Romana i francuskie wykrzykniki hrabiny.

Dreszcz ją przeszedł nerwowo i znowu przytuliła się do panny Olimpji. Doznała znowu tego samego przykrego uczucia jak wtedy, gdy nagle omdlała... uczucia pustki bezmiernej w okolo siebie...

— Weź mnie pani! zabierz!...—szeptała.

Wtem kroki ozwały się w przyległym pokoju i wbiegła Kamilla.

— Jak się miewasz Jańciu! a! i pani tutaj? jakże pani naszą chorą znajduje? prawda, że zaczyna już lepiej wyglądać?

— Lepiej, zapewne...

— Czemu pani to jakoś tak dziwnie mówi? Janinko, czy ci czego brakuje, powiedz!

— Nie, nic mi nie brakuje... ale... chciałabym...

— Chciałabyś? cóż to znów za tajemnicze miny, niech mi pani powie o co chodzi?

Panna Olimpia się uśmiechnęła.

— Przed panią żadnych tajemnic niema, — rzekła.—Cała rzecz w tem, że chciałabym pannę Janinę zabrać do siebie na dni kilka.

— Co, na co, po co, dla czego?—pospyły się pytania ze strony Kamilli. Panna Olimpia odpowiedziała, że zmiana miejsca może się przyczynić do szybszego wyzdrowienia Janiny, na co znów Kamilla zrobiła tajemniczą minę, niby domyślając się czegoś i obiecała, że wyprosi u matki pozwolenie na tę wycieczkę.

Idąc do ogrodu na spotkanie matki uśmiechała się sama do siebie, tworząc domysły: Janina tęskniła za panem Kręckim... to było jasne, i widok jego, miał jej zdrowie przywrócić.

Z całym też zapalem zaczęła matce tłumać, że powinna pozwolić Janinie jechać do panny Olimpji.

Hrabina zrobiła z początku kwaśną minę; wołała nie słyszeć o istocie, która od jakiegoś czasu ciągle kłopotu jej przynosiła.

— A niech sobie jedzie!—rzekła w końcu zniecierpliwiona,—niech nawet zostanie, jeżeli chce...

Kamilla jednak stała jeszcze przed matką zamysłona i nieśmiała, bo trzeba było jeszcze jedną, drażliwą podnieść kwestję.

— Niech jedzie... — powtórzyła raz jeszcze hrabina z przyciskiem.—Możesz jej to pójść powiedzieć.

— Pojedzie, — rzekł Kamilla, — a jak? mama musi pozwolić koni, powozu...

— Co? — zawołała pani Żarnowiecka prawie oburzona. — Konie dziś na kolej chodziły... Jeżeli już chcesz, to każ założyć fornalkę do bryczki...

— Ależ mamol! — zaprotestowała Kamilla, — Janina nie jest jeszcze zdrowa... bryczka trzęsie...

— Jak nie zdrowa, to niech siedzi w domu.

— Ależ mamol!

Kamilla załamała bezsilnie dłonie.

— Mamol! nie jesteś dobra! — zawołała. — Jak możesz odmawiać swego powozu chorej!

Roman z Natalią stali obok, nie mieszając się do rozmowy, a teraz się zbliżyli.

— Cemu to Kamilla taka oburzona? — zapytała Natalia, obejmując ją pieścizotliwie.

Ale Kamilla odsunęła się od tej pieścizoty niecierpliwym ruchem, prawie gniewnie; Roman się odezwał:

— Konie cioci zmęczone, rozumiem; ale czemu ciocia zapomina, że moje są na jej usługi? Każę zaraz zaprzadź.

— Romanie! — zawołała pani Żarnowiecka. — Czy słyszałeś, że te konie potrzebne dla panny Janiny?

Hrabina tonem pogardy podkreśliła swoje słowa, ale Romana to nie wzruszyło.

— Słyszałem wybornie, — rzekł. — Wszystko mi zresztą jedno kogo one powiozą, byłem mógł przysłużyć się kochanej cioci... Chodź Kamillo!

Odeszli. Kamilla pobiegła nawet bardzo szybko, bojąc się widocznie, żeby matka nie robiła jeszcze jakich trudności.

Hrabina rzeczywiście mocno była zirytowana i nie mogąc mówić, sapła głośno.

— Któż to jest ta panna Janina, którą się wszyscy tak zajmują? — zapytała z drwiącym nieco uśmiechem pani Natalia.

Badawczego jej wzroku nie uszła irytacja hrabiny i widoczny, choć pełen szacunku opór młodych; przeczuła, że ma przed sobą dwa obozy i odrazu stanęła po stronie silniejszego.

— Któż to, ta panna Janina? — powtórzyła słodszy tonem, wzbudzającym zaufanie.

— Panna Janina! — wybuchnęła pani Żarnowiecka. — Jest to osoba, której wszyscy starają się udowodnić, że ona, jako biedna, z łaski wzięta sierota, jest na równych prawach socyalnych jak my wszyscy!

Natalia słuchała z przechyloną na bok głową z pół-drwiącym na ustach uśmiechem a słuchała tak uważnie i tak stosownie umiała mimiką okazać słusność żalom pani Żarnowieckiej, że ta ostatnia musiała z przyjemnością przyznać, iż nareszcie znalazła kogoś co ją rozumie... To też rozmowie, a właściwie utyskiwaniom, końca nie było.

Tymczasem Kamilla z idącym za nią Romanem — zdążyli szybko do domu, oboje w bardzo wesołym usposobieniu. Porozumieli się nie wyrzekłszy słowa i teraz nie dotyczyli przedmiotu, który ich oboje zajmował.

— Idę kazać założyć konie, — rzekł Roman. — a ty uprzedź pannę Janinę, żeby się szykowała do drogi.

Za kwadrans, powozik Romana stał przed gankiem, a on sam niespokojny spacerował tam i na powrót, czekając na panie.

Janina, zmęczona wysiłkiem jaki uczyniła schodząc ze wschodów, oparta na ramieniu panny Olimpii, ukazała się wreszcie, a za nią uśmiechnięta Kamilla. Musiała wesoła panienska opowiedzieć na górze choć część historyi z powozem, bo Roman ujrzał pełne wdzięczności spojrzenie panny Olimpii a Janina cichym głosem dodała:

— Dziękuję panu...

Sklonił się milcząco, i pomógł paniom wsiąść do powozu.

— Do widzenia Janinko! wracaj prędko i zdrowo! — wołała, posyłając jej całusy Kamilla.

Pojechali.

— Wiesz Romku! — z tajemniczą minką szepnęła Kamilla. — Ona teraz z pewnością będzie zdrowa. Może teraz przyjdzie do stanowczego porozumienia między nimi...

Roman się porwał tknięty niemłą myślą.

— Jakżesz? przecież sama mówiłaś, że jej tego nie życzysz!

— Jeżeli w tem jej szczęście... jeżeli ma życiem przyplacić utratę tego szczęścia... Ha! zobaczmy!

Pani Żarnowiecka boczyła się trochę przez resztę dnia na córkę i Romana, ale Kamilla zdawała się nie zwracać na to uwagi, tak była wesoła, a o Romana odbijały się pociski złego humoru ciotki bez żadnego rezultatu; był poważny bardzo i małomówny.

Na drugi dzień dano znać, że do Wasilec goście zjechali i Roman musiał ciotkę pożegnać. Hrabina raptem rozczuliła się ogromnie.

— Jedziesz, *mon cher*... co za szkoda! proszę cię, wracaj prędko, wraz ze swoimi gośćmi... Co my tu robicie bez siebie będziemy!

Musiał przyrzec, że wróci i gości przywiezie. W Wasilecach zastał przybyłych, którzy się bez ceremonii rozstasowali; musiał zająć się nimi, i bardzo to dobrze wpłynęło na jego umysł obecnie w stanie najwyższego rozdrażnienia będący.

W Żarnkach, gdy zabrakło Romana i Janiny, pusto było. Co dnia jednak przyjeżdżał ktoś z sąsiedztwa, ciekawo poznać panią Natalię, którą hrabina coraz więcej się zachwycała!

Pani Natalia posiadała bowiem rzadki dar zjednywania sobie umysłów; umiała przypodobać się i trafić w gust w każdego, umiała w razie potrzeby stać się przyjaciółką wylaną, pełną wyrozumienia i współczucia. Jadąc do Żarnek, gdzie się na lato zaprosiła, miała swój plan, przygotowała kampanię przeciw Romanowi, i postanowiła sobie, że zwycięży. Obecnie, będąc już na terenie, zabierała się do stoczenia walki tajemniczo, umiejętnie i z zapalem godnym lepszej sprawy.

Nieobecność chwilowa Romana była jej bardzo na rękę; przez ten czas obnażając się z sytuacją i wyznaczała role każdemu, sobie najgłówniejszą zostawiając. Nie nudziła się też piękna pani ani trochę, nie nudziła się w jej towarzystwie hrabina, ale Kamilla nie bawiła się wcale.

Pełne sarkazmu zdania Natalii, ironiczne jej, choć niby przyjacielskie aluzje co do stosunków Romana do Kamilli, dowcipna krytyka wszystkiego i wszystkich, raziły ją coraz bardziej. Kamilla była popsutem nieco dzieckiem, nie mająca energii ani wyrobionego charakteru, ale nie była też pesymistką i znudzoną życiem. Owszem, wymagała ona od życia dużo, bardzo dużo, może więcej jak jej ono dać mogło, pod niektórymi względami była nawet idealistką, i nie lubiła żeby jej ciągle ukazywano odwrotną stronę medalu — realną i wstrętą. To też poglądy pani Natalii nieraz przykreść jej czyniły, i tęskniła za poważną rozmową z Romanem lub Janiną.

Gdyby tak Kamilla mogła iść za popędem dobrego serca, byłaby co dnia choć na chwilę pobiegła do szkoły odwiedzić przyjaciółkę, ale hrabina zakrzyczała głośno, gdy jej córka o tem wspominała.

— Iść do szkoły? jeszcze co? czy to towarzystwo dla hrabianki? niech sobie Janina tam siedzi kiedy jej dobrze, ale nie idzie za tem aby Kamilla tam latała!... *An fond* dziwna ta Janina... niby jej tu źle było! miała przecie lepsze wygodę w domu hrabiny, jak w tym małym domku, gdzie pewnie jada kartofle i kaszę... ale, nic dziwnego! *qui se ressemble, s'assemble*!

Na te słowa, Kamilla miała tyle taktu, że nie nie odpowiedziała; czuła, że opór z jej strony pogorszyć tylko może i tak trudne położenie Janiny w ich domu.

Tymczasem Janina, w małym domku szkolnym wcale nie była pożałowania godną; panna Olimpia dogadzała jej i troskała się jak o własną córkę. Jednak... było coś, co na pogodnym horyzoncie stało się dla Janiny chmurką... tą chmurką była obecność Władysława.

Z wrodzoną przenikliwością każdej kobiety, przeczuła ona, że się młodemu Krękiemu bar-

dzo podoba, a ostatecznie i Kamilla otworzyła jej do reszty oczy. W pierwszej chwili, gdy zmęczona, chora i rozdrażniona przybyła do domu panny Olimpii, nie myślała o tem, ale gdy ujrzała błyszczące radością oczy Władysława, gdy usłyszała głos, w którym hamowane uczucie brzmiało, troskliwie wypytujący o zdrowie, wtedy zadrdzała... Czuła, że niepotrzebnie tu przyjechała.

Przez cały tydzień unikała bardzo zręcznie młodzieńca, który zresztą nie narzucał się jej wcale.

Cudowną jest moc przyjaźni i życzliwości! Po tygodniu, Janina pod wpływem troskliwej opieki panny Olimpii uczuła się o tyle lepiej, że mogła już chodzić po całym domu, a nawet i ogrodzie. W Żarnkach, biedna rekonwalescentka pozostawiona samej sobie na górze, gryziona ciągłą obawą przed hrabiną, której długa jej choroba dokuczała, byłaby długo jeszcze bezsilną, i izgnębią moralnie; tutaj zaś, w ciągłej styczności z osobą, o której wiedziała, że jest jej życzliwą, biorąc udział w jej pracy, w domowym spokojnym życiu, czerpiąc najwięcej otuchy w rozmowach z zadaną przyjaciółką, Janina odżywała z dniem każdym, i wkrótce przyszła do przekonania, że dłużej nie wypadało jej usuwać się od obowiązków jakie czekały na nią w domu hrabiny.

Oświadczyła to raz pewnego pannie Olimpii, a ta ostatnia, patrząc z żalem i ze smutkiem na bladą i wynędzniałą twarzyczkę Janiny, nie oponowała. Sama pełniąc trudne obowiązki, nad siły czasami, nie śmiała sprzeciwić się Janinie w pełnieniu swoich. Kto wie! może i wiedziała o uczuciach swego siostrzeńca i nie pragnęła go ani osmieszać, ułatwiając ciągle jej widzenie, ani męczyć, za nadto, jeżeliby nie miał mieć żadnej nadziei. W każdym razie nie zdradzała się z tą wiadomością i postępowała w tym względzie z takim taktem, że hrabina, gdyby o tem wiedziała, dziwiłaby się mogła.

Dnia pewnego Janina udała się pieszo z powrotem do pałacu prosić hrabiny o konie; aby Roman znowu był zmuszony przysłużyć się swoim — nie chciała... Droga zresztą przez las graniczący z pałacowym parkiem długą nie była, a ostatecznie spocząć można było, gdyby się bardzo zmęczyła.

Szła powoli, z dziewczyną niosącą jej rzeczy i niewesołe myśli rozbudzać się w jej umyśle zaczęły, im bliżej była celu. Co ją tam spotka? jakie przyjęcie u hrabiny? a ta obca pani, której nie znała? a Roman? Wraca do jarzma, od którego uwolniła ją czasowo choroba... Jednak, czy tu, czy gdzieindziej, wszystko jedno! jarzmo takie znosić musiała, to było jej przeznaczeniem.

Bez względu na postępowanie hrabiny, która na niej jakby się mściła za dawny megalomanię swego brata, stała się przed oczami i więcej niż kiedy oburzała. Pracować musi, wiedziała o tem, ale nieznająca życia, czuła jednak, że za tę pracę należy jej się niejakie moralne wynagrodzenie a nie ciągła pogarda; dziś więcej jak kiedy obudzało w niej się pragnienie wydobycia ztąd na świat szeroki. Stanowczo, jeżeli do jesieni brat nie będzie mógł jej dać kąta u siebie, pójdzie do obcych, gdzie chleb, który jej będą podawać nie będzie miał pozoru łaski jak w Żarnkach.

A Kamilla? Kamilla, taka teraz dobra, serdeczna, taka inna niż pierwiej, w której budzić się zaczynają szlachetne uczucia? Czy jej nie żal będzie Kamilli i czy ona jej pójść pozwoli? Jeżeli naprawdę zmieniła się Kamilla na lepsze, to nie puści jej od siebie, Janina to czuje i zostanie... zniszczy wszystko, jeżeli Kamilla tego sobie będzie życzyć.

Oslabiona nie fizycznie, ale myślami swojemi, posłała dziewczynę naprzód, a sama przysiadła na pierwszej napotkanej ławeczce w parku, starając się uporządkować te myśli, zanim stanie do swoich obowiązków jak żołnierz do apelu.

Kamilla stała jej ciągle przed oczami, miła, serdeczna, taka jak ją dawniej, za czasów bytności brata widywała, i odnalazła teraz, ostatnimi czasy. Poświęcić dla przyjaciółki warto trochę miłości własnej, a zresztą... czyż to na

długo? Kamilla zamaż pójdzie, pójść musi nie za Kazią!... Janina już dawno wyrzekła się tej nadziei!... i wtedy będzie czas na samodzielną pracę.

Czemu Roman z Kamillą żenić się nie może! co by to była za dobrana para, a jakby się Kamilla przy takim mężu udoskonalić mogła! Roman... jak ona go źle osądziła! jak mogła to uczynić...

Uśmiech rozjaśnił bladą twarz Janiny, a serce silniej zabiło. Zobaczysz go dziś, może, tego dawnego wroga swojego i niewypowiedzianie czuje się szczęśliwą, choć szczęścia tego określić nie umie. Mało jest kobiet, dla których człowiek noszący na palcu ślubny lub chociaż zaręczynowy pierścionek świętością się staje, ale Janina należała do tych wyjątków. Uczucia, które czuła w sercu dla Romana określić nie umiała i nie starała się go nazwać, ale miała to przekonanie, że miłością ono nie było, bo przecież wiedziała, że serce jego zajęte... nie należało do siebie. Wierzyła w to jego uczucie, tak silne, że go lepszym, pobłażliwszym i dobrym dla niej czyniło i żałowała, że nie Kamilla była tą szczęśliwą...

Odgłos kroków obudził ją z zamyślenia. Spojrzała trwożnie: Władysław szedł ścieżką z pałacu i ujrawszy ją, przystanął zmieszany.

— Pani tu? sama? — zapytał.

— Wracam do pałacu, — rzekła.

— Wysiłek widzę za ciężki... — zmęczyła się pani niedługą drogą...

— Nie ze zmęczenia usiadłam, — rzekła z uśmiechem. — Tak się przyzwyczaiłam do lenistwa pod dachem ciotki pana, że nie wiem co ze mną będzie.

Stała przy niej i oparł się o pień drzewa, coraz bardziej oniesmielony. Przypadek zbliżył go do niej jakby umyślnie... stanowczo to była chwila, z której korzystać wypadało, wywiązując się z obietnicy danej Romanowi. A jak mu ciężko było! Bóg widział. Spojrzał na nią ukradkiem, pragnąc przedewszystkiem zbadać czy ona spodziewa się czego, czy przeczuwa co się w jego sercu odbywa... Spokojną była, wcale nie zmieszana jego nagłym pojawieniem i patrzała w dół, zamyślona, jakby zapominając o jego obecności. Nie! taką by nie była gdyby choć trochę mu sprzyjała...

— Wraca pan z pałacu? — zapytała spokojnie, zwracając twarz swoją ku niemu.

Otrząsnął się z posępnej zadumy.

— Nie, — rzekł a w głosie jego mimowoli smutek przebiegał. — Ciotka prosiła mnie, bym poszedł do ogrodnika o coś tam... jakieś nasiona.

— Nasiona? kwiatów chyba jesiennych, bo na wszystko inne za późno. To strach! Czerwiec już, przechorowałam całą wiosnę! A pan czy lubi wiosnę? bo ja przepadam za nią.

Uśmiechnął się smutnie; szkoda, że Roman tej rozmowy nie słuchał, byłby utwierdzony, że chyba o uczuciu Janiny dla niego mowy być nie może; obojętna pogadanka o wiosnie z ukochaną osobą!...

— Czy lubię wiosnę? — odrzekł zawsze z tym bezbarwnym uśmiechem. — Wiosna ze swoją zielonością, to jakby symbol nadziei, lubię ją trzeba.

— Więc pan nadzieję tylko z potrzeby lubi, nie z przekonania?

— Z nawyknięcia, powiedz pani raczej. Jedyne to dźwignia w życiu.

— Smutny ton mowy pana i bez... nadziejni! — Jak życie wykołonego! — westchnął.

Ona się teraz nieco zmieszala. Przedmiot był drażliwy, a jeżeli było prawdą to co przeczuwała... jeżeli i ona musiała by mu odjąć wszelką nadzieję?... Zaczne serce Janiny współczuciem wezbrało, a nie mogła mu tego okazać, bo się obawiała, że inaczej jej słowa zrozumiane być mogą.

Wstała, ujmując leżącą przy niej parasolkę. Lepiej było przerwać od razu tę niebezpieczną rozmowę.

— Czas mi iść, — rzekła, — gdybym tak pozwoiliła sobie spoczywać, nie zasłabym chyba do nocy.

— Czy wolno mi odprowadzić panią? — pytał przerażony, że mu już umyka i gotów kosztem nowych walk przedłużyć tę chwilę.

— Do samego domu... nie! — rzekła uprzejmie bardzo. — Przez cały ogród, jeżeli pan chce, możemy iść razem i bardzo mi będzie miło.

Znowu frazes nadzwyczaj zachęcający! szkoda, doprawdy szkoda, że Romana tu niema.

Szli oboje wolnym krokiem, rozmawiając urywkami, przygnębieni. Władysław pożegnał się stanowczo z wszelką nadzieją i postanowił od tej chwili, że nawet o swój wyrok Janiny nie zapyta. Na co? przecież to jasne!

Ona, mimowolnie czuła z jakiej przyczyny zgnębienie jego pochodzi, i smuciła się, że żadnej na to rady nie ma... Nie czuła nic dla niego oprócz serdecznej sympatii, która w innych warunkach w trwałą przyjaźń zamienić by się mogła, ale zostać jego żoną? nigdy bez głębszego uczucia tego by nie uczyniła.

Doszli tak prawie do furtki.

— Tu już pożegnać pana muszę, — rzekła, rumieniąc się za swoją neliatościwość, jak myślała. — Niech pan powie paniu Olimpiu, że doprowadziłeś mnie cało i zdrowo, i podziękuję raz jeszcze za jej dobroć dla mnie, nigdy nie zapomnianą...

Podala mu rękę, ujął ją nieśmiało, blady bardzo, z trudnością panując nad sobą.

— To ja dziękuję pani w jej imieniu, — rzekł drżącym głosem, — że raczyłaś pani przyjąć gościnnosć w jej ubogim domku... Obecność niektórych osób, — dodał zapominając się, — rozjaśnia nędzę ludzką jak promień słońca... promienia tego także zapomnieć nie można...

Pochylił nagle głowę i szybko dokończył:

— Ciotka moja smutną będzie bez promyka, co jej na chwilę życie ozłocił...

Janina rumieniła się, słysząc te słowa.

— Przypisujesz mi pan w poetycznej mowie dar, którego nie posiadam... — rzekła. — Pragnęłabym, być — nie promieniem, — ale ulgą i pociechą, a jeżeli nie, to choćby nadzieją — ale cóż! nawet i to nie jest w mojej mocy! Mogę tylko być przyjaciółką tych, którym by o tę przyjaźń chodziło.

Pochylił się nisko przed nią. Był to cios cstateczny; jeżeli kobieta swoją przyjaźń ofiarowuje mężczyźnie — to miłość nigdy w jej sercu dla niego nie zagości!

— Zegnam panią! — rzekł puszczając z wolna jej rękę, i oddalił się nie dodając nic więcej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODCZYTY.

Ksawery Sporzyński „Na krańcach Norwegii.”

Północ, a zwłaszcza Skandynawia, od pewnego czasu modną się stała w Europie zachodniej, gdzie imiona Byörnsonów, Ibsenów i Griegów, nie mówiąc już o głośnym podróżniku Nansenie, należą dzisiaj do najpopularniejszych. Jakiś powiew zdrowy, orzeźwiający, dodający sił i energii, powiew świeżych myśli i uczuć, dolatuje od fiordów i lodowców polarnych i, niby prąd elektryczny, przebiega przeżyte już nieco i wyczerpane organizmy ludów zachodu, trawionych wiecznym głodem nowych idei i nowych wrażeń gorączką. I umysły świata, mającego pretensję do przodowania w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, mimowoli prawie zwracają się ku północy, pamiętając może, iż nieraz już obumierające społeczeństwa otrzymywały z tamtąd przypływ soków żywotnych, które im zwiastowały okres nowego życia i odrodzenia epoki. Tem może tłumaczyć należy nieznany do niedawna objaw, na który zwrócił uwagę p. Ksawery Sporzyński, na początku odczytu, wygłoszonego w niedzielę w sali muzeum przemysłu i rolnictwa. Oto od pewnego czasu latem, w takich n. p. Włoszech, na Riwierze zwłaszcza, skarżyć

się zaczynają na pustki, kiedy dumna kraina wikingów roi się stale tłumem ciekawych gości z zachodu.

W naszym społeczeństwie prąd skandynawski dotknął tylko zlekka warstw inteligentnych i, jak dotąd, nie zdołał wyłobić sobie u nas dróg trwałych. Literaturę i wogóle sztukę skandynawską znamy bardzo powierzchownie, więcej z nazwisk wybitniejszych pisarzy i artystów, niż z głośnych gdzieindziej utworów, a i w wybiegach naszych kierujemy się częściej o wiele na wydeptane oddawna przez turystów ścieżki zachodu, niż ku boeklinowskim krajobrazom północy. W ostatnich latach dopiero ten i ów z podróżników naszych zwracał kroki ku niezbyt odległym od nas krajom północnym, z którymi kiedyś tak bliskie łączyły nas węzły, i dzielił się z szerszą publicznością dodatkami zazwyczaj wrażeń. Szwecya n. p. do niedawna miała u nas gorącego zwolennika w osobie zmarłego przedewszystkiem poety i publicysty św. p. Józefa Wasniewskiego, — Finlandyę zwiedził i opisał z ciekawem i wyczerpującem dziełem, p. t. „W kraju tysiąca jezior,” niezmordowany podróżnik nasz, p. Stanisław Belza, Norwegię wreszcie poznał świeżo, aż do punktów, najbardziej wysuniętych na północ, p. Ksawery Sporzyński i wrażeniami doznanymi podzielił się w żywym opisie z przepełniającą salą publicznością.

Dlaczego malowniczy ten kraj, pełen widoków surowych, ale zarazem wspaniałych, tak mało znany jest nam dotąd, zrozumieć doprawdy trudno, gdy wszystko przemawia za tem, abyśmy zawarli z nim znajomość bliższą, a mieszkańców jego pod niejednym względem naśladować nawet próbowali. Droga od nas do Norwegii nie jest bynajmniej uciążliwa. Jadąc z Warszawy przez Berlin i Szczecin, a z tamtąd morzem do celu podróży, po dwóch niespełna dobach ujrzeć już możemy fiord Chrystianii. Ogólny charakter kraju przypominać ma Szwajcaryę. Oko turysty spotyka tutaj niezmierną różnorodność krajobrazów, niezwykłą pełnię powietrza, obfitość wód, tworzących miejscami olbrzymie kaskady, staczające się z wysokości paruset metrów i przewyższające kilkakrotnie Niagarę, dalej pełne dzikiej grozy szczyty gór i wreszcie lodowce potężne. W samej Norwegii niewygód wogóle nie doznajemy, ceny są niskie, lud dobry, bezpieczeństwo podróży zupełne. Drogi bite ułatwiają poznanie ciekawszych miejscowości, — zimą za to nieraz przedzierać się trzeba przez przebite w lodzie tunele. Jazda dwukołową karyolą jest wogóle dosyć przyjemna, o ile naturalnie nie trwa zbyt długo.

Dalej na północ prowadzi z Chrystianii linia kolejowa, wykuta brzegiem morza w granicę. Po paru godzinach podróży pociągiem pociągającym, ukazuje się zdaleka czerwona plama na widnokręgu. To wieżyca katedry w Drentheimie, dawnej siedzibie królów norweskich. W katedrze, będącej mieszaniną stylów z przewagą gotyku, a zbudowanej głównie z białego marmuru, koronują się i w czasach obecnych królowie norwescy.

Dalszą podróż odbywał prelegent morzem, wzdłuż poszarpanych przez fiordy wybrzeży norweskich, pełnych drobnych wysepek, między którymi statek przemyka się ostrożnie. W miarę posuwania się ku północy noc stawała się coraz krótszą, aż wreszcie ustąpiła zupełnie, a wtedy skaliste brzegi Norwegii widniały nieustannie w bladym oświetleniu słońca północnego, nie dając zmęczonemu oku odpoczynku chwili. Za to w zimie panuje tutaj dwumiesięczna blisko noc bez przerwy.

Gór lodowatych nie spotyka podróżnik u wybrzeży norweskich. Jest to jeden z dobroczynnych skutków ciepłego prądu Golfstroemu, przepływającego właśnie tamtędy. Prawdowi temu przypisać również należy niezwykle rozmiary liści, pokrywających karłowate drzewa, i — co ważniejsze — względnie wysoką temperaturę przeciętną okolic nadbrzeżnych. Dosyć powiedzieć, że w takim Hamerfście, najbardziej ku północy posuniętym miasteczku norweskim, leżącym pod 71° szerokości północnej, średnia roczna temperatura jest tylko o 4° niższa, niż

w Warszawie. Wprawdzie w zimie mróz dochodzi tam nieraz do 40°, a w niektórych miejscowościach rteć nawet zamarza, w lecie jednak bywają upały trzydziesto-stopniowe, dzień trwa przez półtora miesiąca bez przerwy i dzięki temu, jęczmień dojrzewa równie wcześnie, jak w Egipcie. Ale za to w razie nieurodzaju, ludności głód grozi niechybny, gdyż ziarno, przywiezione z południa, nie przyjmuje się odrazu w tym klimacie i wciągu kilku lat stopniowo przyzwyczajając się musi do niego.

Od Tremsö podróżny spotyka już coraz częściej resztki pierwotnych mieszkańców krain północnych, w postaci karłowatych, dobrodusznych lapończyków, którzy w liczbie mniej więcej 30,000 głów zamieszkują pasem poprzecznym północne wybrzeża Skandynawii, aż do Finlandyi. Prawdziwym dobroczyńcą lapończyka jest ren, któremu zawdzięcza on jedyne niemal środki do życia. Setki zwierząt krążą po okolicy. W odpowiedniej porze mieszkańcy urządzają na nie oblavy za pomocą długich sznurów. Na utrzymanie rodziny potrzeba około 200 renów, są jednak wśród lapończyków bogacze, posiadający po kilka tysięcy sztuk tych brzydkich, ale pożytecznych jeleni.

Obszerny ustęp w swym odczycie poświęcił prelegent fiordom, których powstanie próbowano w różny sposób wytłumaczyć. Są to, jak wiadomo, długie, wrzynające się w ląd i szarpiające go w różne strony zatoki; mają one tę dziwną właściwość, że głębokość ich powiększa się bliżej łądu. Z różnych hipotez, któremi starano się powstanie ich objaśnić (podnoszenie się łądu, marszczenie się skorupy ziemskiej, działania lodowców w epoce lodowej), żadna, zdaniem prelegenta, istoty rzeczy nie tłumaczy w dostatecznej mierze.

Na uwagę zasługuje jeszcze opis miasteczka Hamerfestu, o którym wspominaliśmy wyżej. Posiada ono tylko 2,000 mieszkańców i leży pod 71° szerokości północnej, jest więc najdalej na północ wysuniętym etapem cywilizacji. To też turysta nie bez zdziwienia ogląda tutaj ładne pałacyki arystokracji miejscowej, dwa kościoły, wyborne wodociągi i wreszcie oświetlenie elektryczne, rozpraszające długą noc zimową, która w Hamerfście trwa bez przerwy od Listopada do Lutego. Oprócz tych wszystkich udogodnień, miasteczko to ma dwie gazety, a za miastem znajduje się pomnik, wzniesiony na pamiątkę zakończenia pomiarów południka, prowadzonych od r. 1816 do r. 1852.

Okolice Hamerfestu noszą już charakter arktyczny, krajobraz już szarością, góry pokrywa śnieg. Opisem wycieczki na Nordkap i obrazem słońca północnego zakończył p. Sporzyński odczyt zajmujący, który urozmaicały i ilustrował liczne obrazy niknące. Szkoda tylko, że na rozpoczęcie prelekcji publiczność czekać musiała blisko trzy kwadransy i to podobno z winy szanownego prelegenta. Jest to fakt przykry, a tem wymowniejszy, że na poprzednich odczytach nie wpuszczano wcale do sali tych, którzy przypadkiem spóźnili się o minut parę.

Wł. Bukowiński.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Nie wiedząc, co robić z sobą, a wiedząc, że słyszenia—bo nie z doświadczenia,—że leżenie jest atutem w hazardowej grze z morską chorobą,

udałem się do mej kajuty, ażeby się położyć trochę. Czułem, że mi to nie zaszkodzi... Z drugiej strony, w miarę, jak mi głowa zaczynała się wydawać wielką kulą armatnią, którą z coraz większym trudem dźwigałem na szyi, ogarniała mnie jakaś dziwna apatia, idąca w parze z ogromną niemocą woli. Nic mi się nie chciało, tak dalece, że nawet idąc do kajuty—przyczem dla pewności trzymałem się aksamitnej poręczy biegnącej wzdłuż ścian korytarza—zatrzymywałem się co moment, dla tego poprostu, że mi się dalej iść nie chciało. Jednocześnie miałem wrażenie, że jeszcze nie połknął homara, raz czułem smak sałaty z majonezowym sosem, to znowu smak kotletów baranich...

W takim stanie, zatrzymałem się przed wielką lakierowaną mapą Europy, zdobiącą jedną ze ścian korytarza, a oświetloną elektrycznym światłem lampy w suficie. Choć w ogóle nie była to chwila, w której bym się mógł uskarżać na nadmiar świadomości intelektualnej, to jednak, spojrzawszy na tę mapę, doznałem szczególnego uczucia: Oto mi się zrobiło dziwnie smutno, dziwnie tęskno. Patrząc na tę mapę, na południowy cypel Hiszpanii, na punkt, przy którym przeczytałem *Gibraltar*, i na środek Europy, gdzie leżała Warszawa, miałem plastyczne wyobrażenie tej olbrzymiej przestrzeni, która mnie w tej chwili dzieliła od domu, od kraju... Boże! Jakże byłem daleko! Kiedym pomyślał o tem, a zwłaszcza, kiedym pomyślał, że jestem sam, jak kolek, w obcym kraju, wśród nieznanych ludzi, mówiących innym językiem, na samym cyplu Europy, o kilkanaście kilometrów od Afryki, na wzburzonym morzu, na którym mam jeszcze żeglować tydzień blisko, ogarnęła mnie taka szalona nostalgia, że mi się prawie chciało płakać... W tej chwili dałbym dużo za to, żeby być nie w Gibraltarze, ale np. w Zakopanem lub w jakiej wsi pod Warszawą, jeżeli nie w Warszawie samej. I stałem tak, zamysłony, z tęsknotą w duszy, przez chwilę, a dokoła mnie, za temi trzeszczącymi ścianami, które mi tańczyły w oczach, jak pijane, szumiało wzburzone morze, wyl wicher. Przypomniało mi się *Smutno mi Boże Słowackiego*...

W kajucie przeleżałem z pół godziny, a choć miałem wrażenie, leżąc w mięko wysłanej szufladzie, (bo jest to najbardziej obrazowe porównanie, gdy chodzi o łóżka w kajutach okrętowych), że leżę w hamaku, który nie wisi spokojnie, to jednak czułem, że w tej pozycji łatwiej uniknę morskiej choroby. Leżąc tak, na wznak, z oczyma utkwionemi w lakierowany sufit kajuty, myślałem o różnych rzeczach, między innemi i o francuzkiem przysłowiu, które twierdzi, że *C'est seulement le premier pas qui coûte*, a które do wszystkiego może się stosować trafnie, tylko nie do morskiej choroby. Sam miałem dowód na sobie, że maluczko, a ten *premier pas* nie kosztowałby mię wiele... Oczywiście, że nie zapominałem i o mych towarzyszach podróży, którzy w tej chwili, obejrawszy osobliwości Gibraltaru, pewno zaczęli myśleć o powrocie na okręt,

o czem pewno myśleli z bijącym sercem. Bo sprawdziła się przepowiednia kapitana: morze—nawet w porcie—było tak wzburzone, że przeprawa łodzią, choćby tą łodzią była nawet duża szalupa, nie była zupełnie bezpieczna, a jeśli nie groziła niebezpieczeństwem zatonięcia, to jednak groziła przejażdżką na dyabelskim młynie... Pomyślawszy o dyabelskim młynie, zaraz przypomniałem sobie—dzięki asocjacji idei—scenę „Na Ujazdowie“ z humorystycznego *To i owo* Prusa, gdzie między innemi jeden z „bohaterów“ tak woła do drugiego: „Antik! Antik! Wstrzymaj młyn, bo jeden z pasażerów cholery dostał!...“ Tym sposobem myślałem jednocześnie, o moich Angielkach, o cholery, o Prusie, o Ujazdowie, o dyabelskim młynie, o karuzelach, na których tak lubilem jeździć, będąc dzieckiem, a wszystko to przesunęło mi się przez myśl... Gdzie? W kajucie okrętu, w Gibraltarze, przy szumie wiatru i bałwanów morskich, dolatujących z zewnątrz. Dziwne skojarzenie wrażeń i wspomnień...

Marząc tak, *ukolysany*—w dosłownym znaczeniu tego wyrażenia bardzo przyjemną kołysanką „rozbujałych fluktów“, byłem bliski zdrzemnięcia się, gdy nagle usłyszałem lekkie pukanie do drzwi mej kajuty. *Entrez!* W otwartych drzwiach stanął lokaj, ten sam, z którym się już zdążyłem zaprzyjaźnić od wczoraj, zapytany zaś, co go tu sprowadza, odparł z uśmiechem, że przyszedł mię namówić, abym wyszedł na pokład... „Po co?“ „Niech się pan tylko spieszy, bo niema chwili czasu do stracenia. Za parę minut może już być po widoku.“ „Cóż takiego?“ zapytałem, zaintrygowany, zrywając się z posłania. „Niech pan tylko idzie za mną, a nie pożałuje pan.“ Proszę tylko wziąć palto i parasol.

W minutę później byłem już na pokładzie, widok zaś, który ujrzałem, był jednocześnie dramatyczny i komiczny w najwyższym stopniu. Wracali nasi! Widząc ich, jak wracali, w jakim stanie, mogłem tylko winstować sobie, że zostałem na okręcie, że nie był zbyt ciekawy Gibraltaru. Deszcz padał ulewny, co moment siekąc po twarzy; wiatr dał tak silny, że czasem robił wrażenie, jakby mógł człowieka obalić na sliskim pokładzie; a bałwany były poprostu straszne chwilami. Okręt bujał się, jak na biegunach, tak, że z trudnością mogłem się utrzymać na nogach, a raz po raz musiałem się chwycić mokrej balustrady, żeby nie upaść. Wszystko to, przy zapadającym zmierzchu, i ogłuszającym szumie morza, było nacechowane pewną grozą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusze 8 powieści p. t. *Takisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Asnyk jako autor dramatyczny, przez P. Chmielowskiego (dokończenie). — Niedola dziecka, przez Szczęsną. — Pogawędka, przez ?? — Komedia życia, przez Antoniego Pileckiego. — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Odczyty. Ksawery Sporzyński „Na krańcach Norwegii“, Wł. Bukowińskiego. — Na morzu, przez Ferdynanda Hośicka (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Takisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 8. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.